

Wesele satyra



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Wesele satyra

Wiesz, że Satyr był pięknym za młodu, a skutkiem czego później okropnie zbrzydl? Otóż tajemnicę tej przemiany zachowała taka bajka:

Przez całą noc kazał Apollo chmurom wchłaniać pary wodne z morza i wczesnym rankiem rozlać je po lasach i niwach Skapolu. Nim zapalił na niebie gwiazdę dnia, już one rześnym deszczem ochłodziły powietrze ze skwaru i omyły drzewa z kurzu, obudziwszy w barwnych ustach kwiecia rozkoszne wonie. To też źrenice dobrego boga spromieniły się szczerem zadowoleniem, gdy spojrzął na ziemię i spostrzegł, jak ona, przybrana w świeże barwy, pachnąca i blaskami uśmiechnięta, obchodziła uroczyste gody Satyra i Teryi, którzy w czułym uścisku, całując się rozmarzonymi oczami, wracali ze świątyni, gdzie przysięgli sobie związek serc dozgonny. Szli w otoczeniu krewnych, przyjaciół i poddanych, szczęśliwi, rozkochani, wdzięczni losowi, który im spotkać się w labiryncie życia pozwolił, i niebu, które im tak wyraźną dziś okazywało łaskę. Terya opasała ręką męża, śliczną, bujnie czarnym włosem obrzuconą główkę sparła lekko na jego ramieniu, upojonemi od zachwytu wargami w drżących szeptach powtarzała mu słowa miłości, a on przyciskając ją do siebie, to obejmował całą jej postać gorejącym wzrokiem, to pił słodycz z jej warg drobnych przeciągłymi pocałunkami. Zorza miłości, która na jego twarzy jaśniała, czyniła go piękniejszym, niż zwykle. Zdawało się, że od śnieżnego czoła, od dobrych oczu, od wszystkich czarów żony padały na niego nowe uroki. Płowe i miękkie włosy spłynęły mu łagodnymi falami aż na ramiona, lica skraśniały zdrowym rumieńcem, nozdrza rozdymało miłe wzuszenie, w modrych oczach płonął ogień, a szeroka pierś narzmiewała westchnieniami błogości.

Matce jego ukazał się we śnie Apollo, więc urodziła syna podobnego temu bogu pięknością i siłą.

Właśnie orszak weselny zbliżał się ku domowi nowożeńców, gdy doleciały do niego zmieszane echa jakiejś muzyki, krzyków i śpiewu, a wkrótce wysypała się z wąwozu gór pstrokata i wrzaskliwa drużyna. Przodem biegł stary kozioł, za nim śpieszyli mali chłopcy, obwieszeni blaszanymi brzękadełkami; następnie posuwały się w namiętych płaszcach półnogie, bluszczem i kwiatami przybrane dziewczęta, śpiewając i co chwila nagniatając sobie w usta sok gron winnych; dalej szli obnażeni młodzieńcy, grając na fletach, trąbkach i piszczałkach; pochód zamykali starcy, którzy podrygując i zataczając się, dorzucali do ogólnego gwaru lubieżne okrzyki. Cała ta gromada miała na głowach wieńce, cała była pijana winem i nocną rozpustą. W środku niej, dźwigając ogromne cielsko na obrzękłych nogach, z czerwoną twarzą i przymkniętymi powiekami, z pasmem śliny u obwisłych warg kroczył, podpierany i ciągle upadający, senny i podnietami kobiet budzony — Bachus.

Terya, spostrzegłszy go i rozpoznawszy jego otoczenie, przycisnęła się trwożnie do męża i szepnęła:

— Zejdźmy im z drogi, ucieknijmy.

Ale zanim zdolałi zboczyć w gaj przy drodze, już nadciągająca czereda zobaczyła ich i powitawszy z oddali dzikim wrzaskiem, podążyła ku nim śpiesznie i wnet otoczyła orszak weselny. Otrzeźwiony nagłym ruchem i nadzieją nowej rozrywki Bachus, oprzytomniał, odzyskał rzeźkość w nogach a żywość w twarzy.

— *Evoe!* gołąbki moje — zawołał z hulaszczym zapalem. Ale — fe! — przestańcie być parą gołębi, które gruchają i całują swoje dzioby długo, a Wenerę czczą krótko. Niech każde z was będzie dla drugiego winną jagodą, ciągle leżącą między zębami, która wysączywszy pod ich naciskiem swój płyn, zaraz napelnia się nowym. Nie spuszczaaj ocząt,

Teryo. Naprzód masz za ładne, ażeby je powiekami osłaniać, powtóre powinnaś uważnie wysłuchać, co ci mówi bóg, patron szczęśliwego życia i opiekun wszystkich uciech. Nimfy, które mi dziś doniosły, że Skapolowi ubędzie jedna dziewczica, gdym je zapytał, czy ładna, zamikły, sine ze złości. Rzeczywiście jesteś tak piękna, Teryo, że Satyr obmierźnie bogom i ludziom, gdy cię sam będzie posiadał. Czy równie słodka, jak śliczna?

— Boję się ją chwalić — odrzekł Satyr — ażeby który z nieśmiertelnych mi jej nie zabrał, bo z śmiertelnymi sobie poradzę.

— I za cóż ty ją tak zawzięcie pokochałeś? Czy tylko za ponętą łupinkę?

— Boję się mówić głośno, gdyż zapewne bogowie wychylili głowy z nieba i nasłuchują. Niech ci to wystarczy, że kiedy ją poznałem, uczulem nagle w duszy mojej jakąś dziwną swobodę: myśli wyrwały mi się z głowy jak ptaki, którym rozwiązano skrzydła, uczucia tryskały jak źródło, któremu otworzono wylot w skale...

— Rozumiem, rozumiem, takież sam wpływ wywiera wino, które również wszystkie pożądania wyzwala. Nie darmo twoja żona otrzymała po urodzeniu imię *Eleuteria* — swoboda, tylko przez skrócenie nazwano ją Teryą. Wiem o tem, bo jej ojciec prosił mnie w częstych modłach, ażebym jako bóg łagodnych obyczajów wziął ją pod moją opiekę.

— Ciebie prosił, Bachusie? — spytał wylękły Satyr.

— Tak, mnie. I dlatego dziś wyprawię wam wspaniałą ucztę. Prowadźcie nas do waszej siedziby. Hej, dzieci — zawołał zwracając się do swej drużyny — za mną! Grajcie i śpiewajcie, niech cały Skapol zabrzmi weselem, niech przytomność opuści wszystkie głowy, niech rozum stopnieje w szale, jak lód w słońcu, zamieńmy się wszyscy w jedno winne grono, a dom tych nowożeńców — w kielich życiodawczego napoju. Nie tul się do męża, wystraszona Teryo — wszak my czcić będziemy tylko święto twoich z nim zaślubin. A ty, Satyrze, nie patrz na nas wzrokiem jelenia wśród stada wilków. Wstydz się, brodata babo! Przecież ty niedawno celnym rzutem kamienia ważyłeś się okuliwić Tytana. Wyglądasz, jak śmiały byk, a drżysz tak, jak gdybyś truchlał, ażeby cię zając nie przebódl uszami. Jutro żadna żaba nie odskoczy ci z drogi, ale każe się zdaleka ominąć. Teryo, ty nie poślubiłaś mężczyzny!

Tymczasem oba orszaki zmieszały się i wśród drażniącej muzyki, rozdieranej pokrzykami, szły drogą leśną ku siedzibie młodej pary. Na czele biegł w żywych podskokach kozioł.

Podniecony szyderstwem Bachusa, Satyr zaczął powoli odurzać się ogólnym szalem i przyjmować udział we wszystkich jego wybuchach. Opuścił Teryę i oplótszy kibić jednej z bachantek, śpiewał z nią laskotliwe piosenki. Rodzice jego, usłyszawszy zwichrzony odgłosy tego pochodu, wyszli na próg domu, ale spostrzegłszy hałaśliwy tłum, cofnęli się zdziwieni i zatwożeni.

— Co to jest? — spytali wchodzącego Satyra.

— Moje wesele — odrzekł i kazał wynieść na dwór wszystko, co przygotowano do ucztowania gości.

Biesiada to była skromna, ale natychmiast za drużyną Bachusa nadjechały wozy, nalożone owocami i beczkami wina.

Ciągle napełniane kielichy zaczęły krążyć wśród uczestników, odezwały się namiętnymi melodyjami flety, piszczałki i bębny, spłynęły się z niemi ochocze śpiewy i całe zebranie, porwane gorączką zmysłową, puściło się w tany. A Bachus, usiadłszy na grzbiecie swego kozła, przyglądał się uśmiechnięty temu wirowi i splotom giętkich ciał, nieustającej pijatyce i niemilkącym chichotom. Tylko od czasu do czasu wołał:

— Satyrze, Teryę ktoś uwiódl.

Wtedy Satyr, jak gdyby w serce ukąszony, nagle przytomniał i błady, z oddechem mściwego gniewu szukał żony. Ale znajdował ją zawsze przy swych rodzicach, smutną i zapłakaną.

— Teryo, krzyknął raz wreszcie — dosyć tej łzawej rosy! Bawimy się dla ciebie, więc baw się z nami.

Wyciągnął ją za rękę i wrzucił w taneczny odmęt. Natychmiast pochwycili ją pijani biesiadnicy.

— Tylko niewolnikom i podanym od niej wara! — ostrzegął Satyr.

Ona poddawała się spokojnie wszystkim, którzy ujmowali ją w swoje objęcia i zataczali z nią kręgi, a nawet dotykała ustami podawanych jej czar, ale ulegała niema i jak gdyby

w swej woli zgwałcona Ile razy wszakże mogła, wymykała się do domu, skąd ją Satyr znowu wyprowadzał i do zabawy zmuszał.

Noc nie uśmierzyła szału, owszem, rozkiełznała go jeszcze bardziej. Wszystkie więzy, którymi dzień namiętności krępował, teraz popękały i oswobodziły każdą żądzę. Wesele rosło nietylko w natężeniu rozpusty, ale i w liczbie jej uczestników. Nadciągnęły bowiem roje mainad, mimallon, bassarid, pięknych i szpetnych nimf, młodych czicieli i towarzyszków Bachusa, których on w swej wędrówce po rozmaitych miejscach pogubił a obecnie zwołać kazał.

Jutrzenka, wybiegłszy o brzasku na niebo i spojrzawszy na ziemię, cofnęła się wstydliwie za osłonę błękitu; ostrzeżone przez nią słońce weszło w gęstym zawoju z obłoków, które przepuściły tylko nikłą i posępną jasność jego oblicza. Ale uczestownicy nie zauważyli tych znaków: chociaż znużeni pijatyką, tańcem i wyuzdaniem, z zapadłymi policzkami i błędnym wzrokiem podrzucali dalej omdlałe ciała i wypróżniali kielichy.

Trwała ta biesiada dni wiele z małemi i rzadkimi przerwami, o ile ich pokrzepienie osłabionych sił wymagało. Nie zakończyła jej ani śmierć rodziców Satyra, których Terya z niewolnikami pochowała, ani odjazd Bachusa. Zostawił on bowiem część swego orszaku dla podtrzymywania wesołości; na miejscu, gdzie siedział, postawił swój drewniany wizerunek z ołtarzem, mianował Satyra swym arcykapłanem, jego dom — swą świątynią, a cały Skapol — umiłowaną dzielnicą swego królestwa.

Satyr był dumny ze swej godności i zadowolony z życia. Wyprawiwszy poddanych i niewolników do winnic i na pola, ażeby go zasilali owocami swej pracy, nie przestawał używać i mnożyć uciech bez końca. W chwilach nadmiernego zmęczenia bawiono się grą w kostki, skakaniem chłopców na jednej nodze z miskami oliwy, nabijaniem strzałami z łuku pięć niewolników lub układaniem swawolnych piosenek. Terya należała i do tych rozrywek, ale niezmiennie smutna i coraz bardziej znękana.

Pewnego wieczoru cały widnokrąg Skapolu obciągnął się ciemno-żółtawymi chmurami, w których ryczały i polyskiwały ślepiami spuszczone z łańcuchów przez Apollona gromy. Ziemia trzęsła się w przestrzeni, jak miotane wichrem jabłko, lasy przyginały się na niej jak wata szerść lamy a wody, zaparte gwałtownym wiatrem, stawały w swym biegu. Wreszcie burza lunęła potopowym deszczem i zasiała powietrze ciemnością, w której jedynymi światłami były tylko błyskawice piorunów.

Rozproszyła ona gości Satyra, którzy bądź chronili się do swych domów w Skapolu, bądź odbiegli do przebywającego w sąsiednich górach Bachusa z obietnicą rychłego powrotu.

Pozbawiony towarzystwa a przytem zmęczony i wyczerpany z sił, legł Satyr na łożu i po raz pierwszy od dni wielu zasnął.

Sapał twardo i oddychał chrapliwie. Terya, uwolniona od zgiełku, poczuła w bolejącej duszy miłe ukojenie. Usiadła przy mężu, którego tak kochała i który był ojcem dziecka, dojrzewającego w jej łonie, chcąc go pocałować i tem znamieniem miłości zabezpieczyć od nieczystych pokuszeń. Ale zbliżywszy usta ku jego głowie, odchyliła się nagle z niepokojem i odrazą. Teraz dopiero twarz Satyra wydała jej się dziwnie starą i ohydnie skrzywioną, długie uszy sterczały jak śpiczaste języki pod włosami szczecinowato zjeżonymi, a nos wtłoczył się głęboko i wywinął nozdrza. Terya nie mogła zrozumieć tej zmiany i sądziła, że ją ludzi mamidłem słaby płomyk kaganka. Z tą pociechą zasnęła.

Nazajutrz wszakże przekonała się, że Satyr istotnie uległ jakiemuś przetworzeniu, ale ponieważ, zwoławszy swoją rzeszę, rozpoczął ucztować dalej, więc ożywieniem zatarł nieco ślady nabytej brzydoty.

Śród tych bachanalij Terya urodziła syna, który rozdrażnił ojca, bo mu od zabaw odciągnął matkę. Dziecko było urodziwe i krzepkie, ale Terya dostrzegła na jego uszkach ostre wierzchołki, które ją strapiły; znachor wszakże upewnił, że pod przyrządzoną przez niego maścią niewątpliwie znikną.

Niewolnicy i poddani pod dozorem włodarzów pracowali niez mordowanie, więc Satyr miał czem sycić swoich gości, którzy wywdzięczali mu się hojną pomysłowością w uciechach, a Bachusa, jak świadczyły przybywające od niego nimfy, radowali wielce.

Wesoło też mijały dni i lata w Skapolu. Tylko rozniewany, a może zazdrosny Apollo coraz częściej zsyłał wściekle burze, które na czas jakiś wstrzymywały zabawę. Terya

urodziła znowu dziecko — córkę, w której zauważyła zbyt spłaszczony nos. Rozjątrzone wymówkami Satyr, któremu broda zrzedniała i przybrała kształt koźlej, zabrał swoje towarzystwo i wywędrował z nim w odwiedziny do Bachusa. Szybko przemykającego boga nigdzie spotkać nie mógł, więc grasował bez celu i stałego kierunku, napadając podróżnych, paląc chaty, uprowadzając branki i drażniąc drwinami Tytana z sąsiedniej góry. Wreszcie zatęsknił do Tery i wrócił z powiększonym tłumem i zrabowanymi łupami. Pijany, okurzony pyłem, zapragnął kąpieli i kazał się rozebrać. Niewolnik, zdejmując mu sandały, nagle wrzasnął.

— Co się stało? — zapytała Terya i również wydawszy okrzyk przeraźliwy, padła zemdlona.

Satyr zamiast stóp miał kopyta, nogi owłosione a nad nimi ogon. Przedstawiał mieszaninę kozła i człowieka.

Przyjacielska drużyna, zobaczywszy go w tej postaci, wstrętem czy strachem pchnięta, odskoczyła w popłochu. Ale po chwili jedna z bachantek podeszła do osłupiałego Satyra i głaszcząc mu brodę, rzekła:

— To psota Bachusa, który ją jutro naprawi i zapewne tu zawita. Upodobnił cię do swego ulubieńca, ale jeśli go poprosisz lub zagroisz mu buntem, nada ci kształt ludzki. Tymczasem zaś nie trap się, bo kozioł ma największe powodzenie u kobiet. No, wstań i chodź do tańca.

Uspokojony i orzeźwiony tą namową Satyr zdarł z siebie resztę odzieży, porwał Teryę i dał hasło do rozpasanej zabawy. Z winem w kielichu a pianą w ustach, z dzikim wzrokiem i zwierzęcymi poruszeniami ciała tańczył, śpiewał, wył i całował. Ale był to ostatni i sztucznie rozdmuchany żar namiętności. Pomimo wszystkich odurzeń Satyr nie mógł zagłuszyć w sobie strasznej myśli o swoim zwierzęctwie, słyszał stłumione śmiechy i urągania współbiesiadników, więc stanął nagle, powiódł oczami wokół i buchnął rozpaczliwym łkaniem.

Towarzystwo pierzchło, jak rozdmuchnięta garść pierza. Teryę odwołały zbudzone zgłębkiem dzieci — Satyr pozostał na dworze sam. Długo stał nieruchomy, niby skamieniały, wreszcie podszedł do ołtarza Bachusa, ukląkł i zaczął się modlić o przywrócenie mu postaci ludzkiej. Drewniany bóg nie odrzekł mu ani słowa, nie okazał miłosierdzia, choć czciciel błagał go serdecznie i czekał na cud do rana. Gdy blaski świtu odwinęły z nocnych mroków twarz bałwana i gdy Satyr nie dostrzegł w niej nic, prócz lubieżnego uśmiechu, kopnął go nogą i wraz z ołtarzem roztrącił. Potem usiadł na ławie pod domem, oparł głowę na dłoniach i myślał — myślał nad przeszłym i przyszłym życiem swoim.

Tego dnia jutrzienka nie cofnęła się zawstydzona, a słońce weszło bez zasłony. Satyr jednak nie błogosławił tych gwiazd nieba za światło, bo ono tylko bardziej uwydatniało jego przemianę. Był nagim, odzież w domu zostawił i ukazać się Teryi nie chciał; więc popędził do lasu i tam naprzód z szerokich liści szpilkami kolek sosnowych upiął sobie spódnicę, którą na biodrach zawiązał. Ukrywszy w niej koźle nogi, weselszy nieco, wyszukał sobie cieniste ustronie i spoczął. Ale tu znowu wspomnienia otoczyły go rojem os gryzących. Ażeby je odegnąć, wykręcił fujarkę z prętka leszczyny i zaczął grać. Z początku wydobywał z niej tony rzewne, ale powoli przyspieszał ich rytm, nadawał im skoczność, a wreszcie, mimo woli i wiedzy, przechodząc od lekkich ruchów ciała do coraz żwawszych, wpadł w namiętny taniec. W tej chwili przepląnęło po lesie echo:

— Satyrze!

Był to głos Teryi. Satyr zdrętwiał, uczył się, że go jak różgi dreszcze, cisnął fujarkę i nie odezwawszy się, uciekł. W ostępach leśnych przepędził dni wiele. Słyszał często wołanie Teryi, ale jej nie odpowiadał.

Razu pewnego, rozmyślając w gęstwinie, zauważył, że włosy z jego koźlich nóg same wychodzą i łatwo wyciągać się dają. Spostrzeżenie to wyblęzło mu na twarz nadzwyczajną radością: zaczął pośpiesznie i starannie oskubywać nogi, które odzyskały ludzką, drobnym tylko puchem porośłą skórę. Powstał z ziemi i kilkakrotnie podskoczył; ale natychmiast jakaś przykra myśl unieruchomiła go zupełnie.

Wieczorem, gdy ludzie z pól zeszli, podkraść się pod ściany swego domu i zajrzał do wnętrza: Terya pieszcząc dzieci, mówiła do nich:

— Dziś albo jutro, niedługo ojciec powróci.

— Ale już nie będzie taki straszny?

— Nie.

Satyr nie miał odwagi wejść, ale i mocy oddalić się. Chociaż wszyscy w domu ucihli, on przyczajony pozostał i wśród marzeń o straconym szczęściu zasnął. Gdy nazajutrz otworzył oczy — ujrzał przy sobie Teryę. Zerwał się i chciał uciekać — ona go zatrzymała.

— Bądź z nami, wyładniałeś...

Przyjemne ciepło ogarnęło serce Satyra.

— Dzieci twojej opieki i obrony potrzebują — mówiła łagodnie — niedola im grozi. Tytan, przygotowując sobie bryły skał do miotania na bogów i zdobywania nieba, rozbił nasze góry, zniszczył winnice i wydusił ludzi...

— Teryo — rzekł Satyr w uniesieniu — ja go kiedyś zraniłem, dziś zabiję.

I chwyciwszy z komnaty łuk, poleciał jak wiatr w kierunku siedziby Tytana.

Już po długim a daremnym wyglądaniu wyrzucać sobie zaczęła, że go podnieciła do nierównej i niebezpiecznej walki, gdy na zakręcie drogi ukazał się Satyr. Przysuwał się szybko i jak gdyby lekkim chodem swojej młodości.

— Strzała moja tkwi w jego ślepiu! — zawołał z oddali.

— Satyrze — rzekła wzruszona Terya — ty nie masz... kopyt.

Satyr rzucił wzrok na nogi — rzeczywiście miał stopy ludzkie. Odbicia niewiary i zachwytnego uniesienia zmieniły się na jego twarzy w śmiech łzawy.

— Teryo! — krzyknął rozpartą piersią i zawisł na szyi żony.

Już tylko głowa razila w nim brzydota, chociaż znacznie złagodzoną. Za to główki dzieci spiękniały, ledwie drobnymi podobieństwami przypominając ojca.

Satyr widocznie odradzał się. Pociąg do hulanki w sobie tłumił, z Teryą poważnie rozmawiał, ze służbą pracował, niewolnikom ciężary zmniejszył. W kilka dni po przybyciu i walce z Tytanem, siedział przed domem na murawie z dziećmi, które go już nie unikały i tłómaczył im dobroć słońca, gdy z tyłu nagle padł cień. Satyr obejrzał się i z przerażeniem zobaczył tuż stojącego Tytana. Olbrzym, sięgający czubem do wierzchołków palm obocznych, z jednym okiem wyhuskanem i krwią zaciekłem, z maczugą w prawej ręce, ujął lewą Satyra za włosy, podniósł go od ziemi i trzymając w powietrzu, rzekł kamiennym głosem:

— Odprawiłeś się od Bachusa, więc ja cię wezmę na służbę. Będziesz miał bliżej do mnie strzelać. Nie targaj się robaku, bo ci łepkę zgmiotę słabem naciśnięciem moich palców.

Jednocześnie rozdeptał krzyczące dzieci, a nie puszczając Satyra, wywołał z domu Teryę i również uniósł ją z sobą.

Mieszkał on niedaleko we wnętrzu ogromnej góry, na której szczycie zgromadził stopy bryły do walki z bogami. Wnętrze to w znacznej mierze sam wypełniał. Było ono surowe, puste i ciemne, zapchane w szczelinach i norach niepoliczonym mnóstwem karlików, podparte u wierzchu potężną, mętnie przezroczystą kolumną, w której połyskiwały drobne iskierki, dostarczające mdłego światła całej tej przestrzeni.

Gdy Tytan wszedł z Satyrem i Teryą, karliki podały mu pęk grubych i drobnych łańcuchów. Ale on je odtrącił i rzekł:

— Łańcuchem dla niego będzie ona, którą zamknijcie w kryształowej kolumnie, ażeby ją ciągle widział, a nigdy nie odzyskał. Niech na swych polach i w winnicach pracuje dla mnie.

Rozkaz spełniono.

Satyr rozpoczął nowy okres życia w niewoli i trudach. Chociaż mógł, nie uciekał, bo go przykuwała do miejsca Terya, którą kochał, i jak gdyby w ślupie obłocznym widział. Nawiedzające go w snach mary obiecywały mu, że ostatecznie bogowie pokonają Tytana, zgładzą jego górę i rozbiją jej kolumnę.

Więc dźwigał brzemień losu cierpliwie. W wolnych chwilach od pracy spisywał tajemnie na liściach swoje myśli i puszczał je z wiatrem po Skapolu lub też snuł z uczu śliczne piosenki i wyuczał śpiewania ich ptaki miejscowego gaju.

Przesunął bóg czasu na swym różańcu paciorek wiele, a dola Satyra nie zmieniła swego biegu. Ale on w niej zmienił się bardzo: ogon mu uwiądnął, nos ma prosty, uszy owalne, włosy miękkie i w lukach na szyję spadające — jest znowu tak młodym i pięknym, jak w dniu swego wesela. Tylko Teryi ani wywalczyć na ziemi, ani wyblagać u nieba nie może.

— Więc on żyje? — spytała zdumiona słuchaczka.
— Bajka twierdzi, że żyje, ale ponieważ z koźlej przedzierzgnął się w człowieczą postać, więc dobrzy ludzie mówią, że zginął.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wesele-satyra/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Bajki* [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0842-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).